



Maria Skorupińska

część II z III

Sygnatura notacji: **N1281**
Data urodzenia: **15.11.1930 r.**
Data nagrania: **28.06.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Milanówek, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 48 min, część II: 48 min, część III: 45 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Maria Danuta Skorupińska: Powstanie było dla nas niesamowite po prostu. Mimo tych wszystkich bombardowań, tych strzelanin, tych trudności życiowych zwykłych, takich zwykłych. Brak jedzenia, wody, światła. Po prostu uciążliwości różne. Świece się nam już kończyły, karbid się nam kończył. Trudno było żyć, naprawdę. Potem już nie było co za bardzo jeść i te kasze, pęczak taki z ośmi, taka nieczysto zrobiona ta kasza, nie oczyszczona. Polana tymi pomidorami albo szczawiem. Na śniadanie szczaw, a na obiad pomidory do tej kaszy. Wieczorem znowu szczaw. Nie można było tego wytrzymać, naprawdę. Mimo wszystko myśmy wiedzieli i byliśmy naprawdę... Nawet w nas, dzieciach była jakaś odporność na to, że Niemcy nas nie będą mogli zwalczyć, że my musimy zwyciężyć. Ten sierpień był okropny, ale gorzej było potem. Potem było tak, że wujek musiał już z rannymi, z powodu zagęszczenia bombardowań, bo padła Starówka, przenieśli się wszyscy z walkami do Śródmieścia i musiał już z rozkazu swoich zwierzchników, z rannymi przeprowadzić się przez Aleje Jerozolimskie, żeby tam, gdzie jest trochę spokojniej i możliwości umieszczenia tych rannych, gdzieś tam się przedostać. To słynne przejście przez Aleje Jerozolimskie, to które wymienił prezydent Trump w tym swoim przemówieniu. To było coś takiego, jak ja tego słuchałam, to dreszcze przechodziły, naprawdę. A jak dowiadaliśmy się, że na czołgach Niemcy przypinają dzieci polskie, rodziny polskie i idą przeciwko powstańcom, a ci mają związane ręce, żeby nie strzelać. Prawda? O to chodziło. Żeby oni mogli przejść. Jeszcze muszę tu wspomnieć 13 sierpnia o godzinie 18 zadrzały domy u nas. Potem okazało się, że tam wybuchł sprzęt niemiecki, sprzęt pułapka na Starym Mieście i tam zginęło całe mnóstwo ludzi. Spotkałam potem pielęgniarkę po wielu latach, która potem się zjawiła tam na pobojuwisku. Trudno było nawet na to patrzeć. Powiedziała, że czegoś takiego to ona nie widziała przez całe życie i niech Pan Bóg broni, żeby miała kiedykolwiek coś takiego zobaczyć. Nawet zatrzęśły się wieże kościoła Świętego Krzyża, wtedy przy tym wybuchu. Tak on był potężny. Więc wujek się

wyprawił z tymi rannymi i na razie nie mieliśmy z nim kontaktu. Jest wrzesień, bombardowania przenoszą się już na Śródmieście. Takie już bardziej intensywne. I strzelaniny, i rozmaite inne zagrożenia. Wśród ludności zaczynają się wątpliwości. Czy my damy radę? Czy my zwyciężymy? Czy to jest możliwe przy takiej potędze niemieckiej, która przecież miała być już u schyłku. Oni już uciekali z tego wschodu, prawda? Mieliśmy tę możliwość, żeby się uwolnić od nich wszystkich już. Po czym zaczynało się okazywać, że to nie bardzo tak i że to się nie da. Dowiedzieliśmy się o śmierci Kamila Baczyńskiego, dowiedzieliśmy się o ranie i śmierci Józefa Szczepańskiego pseudonim Ziutek, który napisał tę słynną „Czerwoną zarazę”, mam ją. Zbierałam potem te wiersze powstańcze i popowstańcze. Anonimowe, potem się dowiedziałam, że to były jego wiersze, ale to później, po wojnie już. Jak czasem sobie sięgnę do tego, to widzę to wszystko przed oczami. To zawsze wywołuje te wspomnienia i jest po prostu trudne do przeżycia na nowo. Teraz tak, pada Starówka i do naszego mieszkania, bo wtedy mieszkania były otwarte, nikt nie zamykał, bo nie wiadomo było, czy bomba spadnie czy coś. Nie można było pozamykać na klucze, bo jak by się człowiek wydostał wtedy, prawda, ewentualnie. Trzeba było to przewidywać. Ponieważ, ci wszyscy z mojej rodziny to byli ludzie bardzo odcytani, bardzo żyjący w tej krainie bezkresnej, gdzie horyzontu prawie nie było widać, gdzie to było tak coś pięknego, oni mieli bardzo... i czytali polską literaturę, mieli świetny język polski, doskonale pisali i doskonale mówili. Była taka sytuacja, że oni po prostu nie wyobrażali sobie, że może się to źle skończyć. Nie wyobrażali sobie, a jednak. Wtedy do tego naszego mieszkania weszła ze strasznym krzykiem nasza sąsiadka, pułkownikowa Zachorowska, z góry, mieszkająca nad nami. Już jej mąż nie żył i ona z takim krzykiem, że w ogóle nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Pobiegliśmy do niej, a ona trzyma kawałek paska w ręku. Przy tym pasku strzęp niebieskiej koszulki i mówi: „To jest wszystko, co zostało z mojego syna Dzikka”. Tego właśnie, bo on walczył na Starówce. Zginął w tym strasznym wybuchu, mądry chłopak. Jest wspomniany w tej książce „Przemarsz przez piekło”. To było coś tak wstrząsającego, że ja do dziś słyszę ten krzyk tej matki. Ona pochodziła z baronów kurlandzkich, delikatna, drobna, piękna. Straciła już wcześniej męża, potem właśnie tego syna, jedyne. W tym ich mieszkaniu jeszcze mieszkała pani Władysława Mierzińska, żona weterynarza, który został zabity na początku wojny i jej syn przeżył. Syn Tadeusz, wysoki, piękny chłopak też z nią mieszkał i potem wychodziliśmy razem z Powstania. To z tych moich kolegów dwóch takich, ważnych, bo to byli ludzie, patrioci wielcy. My byliśmy tą młodzieżą czytającą. Wtedy nic nie było. Moi rodzice, jak ja miałam osiem lat, czytali nam „Ogniem i Mieczem”. Ośmioletnim dzieciom czytali takie książki. Dlatego to jest tak ważne, co się czyta w dzieciństwie dziecku. Co dziecko później czyta samo, bardzo ważne. Wiem, jak to potem miało miejsce u moich synów. Takie jakieś wychowanie, w szacunku do starszych osób. Pamiętam, że całowało się w rękę babcię, mamę. Tata to nie chciał, dziadek też nie chciał, on całował swoje córki w rękę. Powiedział, że on nie może być całowany w rękę, bo jest mężczyzną. <śmiech> W każdym razie oni byli tacy uważni, tacy szarmanccy, po prostu nie jestem w stanie tego nawet porównać do dzisiejszych osób. Tak mało się spotyka z takim sposobem bycia, na ogół, na co dzień. Właściwie nie. Tak nas zniszczył ten komunizm, że ten homo sovieticus trwa w nas bez przerwy, czy chcemy, czy nie chcemy. To najgorszy zabór był tutaj, najgorszy. On wywołał takie skutki, do dziś to obserwujemy przecież. To co powiedział Rydz-Śmigły, że Niemcy zabiorą nam życie i majątek, a Rosjanie oprócz tego jeszcze duszę i to się sprawdziło. Tak jak patrzę, jak obserwuję, to się sprawdziło, niestety. I nie było na to szczepionki. Elity wszystkie wymordowane. Tak to właśnie było. Jeszcze wracając do Powstania, to już na koniec, ostatnie trzy czwarte września mieszkaliśmy w piwnicy. W naszej kamienicy mieszkała matka Janiny Porazińskiej, tej pisarki dla dzieci z drugą córką Marią Zawadzką, która pisała dla dzieci też książki prozą. Ta pani, stareńka już, mieszkała w sąsiedniej piwnicy. Tam jej córka Maria powiedziała, że prosi moją mamę o opiekę nad tą mamą, chwilową, bo ona się chce

przeprowadzić przez Aleje Jerozolimskie, żeby się dowiedzieć, co z jej siostrą, tą Janiną Porazińską. Mama się zgodziła i zaglądała do tej pani co godzinę, bo mama była bardzo czujna i taka bardzo odpowiedzialna, empatyczna ogromnie. Zaglądała i zaglądała, ale w końcu zasnęła gdzieś tam koło godziny czwartej. Jak o szóstej się zbudziła rano i poszła do tej drugiej piwnicy obok, to ta pani stareńka miała przez szczura wygryzione policzki, nos, usta. Ona nie żyła już, umarła tak sobie nad ranem widocznie i ten szczur się tam do niej dostał, Jezu kochany. Ja to Ja to widziałam. Okropne rzeczy, naprawdę. To trudno tak opisać wszystko. Trudno jest mi wracać do tych wspomnień, naprawdę. Zawsze to mam w pamięci, w oczach, w myślach. I mnie to zawsze wzrusza ogromnie. Teraz zaczęły się jeszcze choroby zakaźne. Czerwonka przede wszystkim, krwawa dezynteria. Nie było lekarstw już, a na to szczególnie. Wujek mój oddał sygnet ostatni, żeby zdobyć dla mnie łyżkę oleju rycynowego, bo to mogłoby mi pomóc. Ale olej rycynowy w dzieciństwie wypijała za mnie moja siostra, a mnie pomagała. Ona mogła to przełknąć, a ja nigdy. Nigdy nie mogłam przełknąć oleju rycynowego. Dopiero później jakaś ruska laborantka powiedziała mi, jak to się robi. I rzeczywiście później do jakiegoś badania udało mi się to przełknąć, ale więcej tego nie powtórzyłam, a wtedy nie mogłam, niestety. Tak że zmagalam się z tym. Z tymi biegunkami okropnymi, krwawymi, bo co to robić wtedy. Człowiek słabnie, odwodniony i ledwie żywy. Ja nie wiem, jak to zwalczyłam, bo zwalczyłam, jakoś, ale nie wiem, bez leków. Jakieś pokłady autoleczenia są w człowieku naprawdę, ale z takimi zakaźnymi to też jest trudno. Jeszcze przed Powstaniem zachorowałam na szkarlatynę i leżałam w szpitalu Świętego Stanisława na Woli i poznałam tam wtedy Wandę Wiłkomirską, bo ona leżała razem ze mną, też na szkarlatynę. Trochę starsza ode mnie, bo ona jest ze stycznia dwadzieścia dziewięć, a ja z listopada trzydzieści. No i trochę żeśmy się zaprzyjaźniły, co nie przetrwało później do momentu, kiedy ona wyszła za mąż za Mieczysława Rakowskiego, a później uciekała z Polski, no bo wiadomo było, dlaczego no i tak... Ale jej rodzina, bo ona była z matki Żydówki. Ojciec jej był organistą i z pierwszej żony miał syna Michała, skrzypka światowej sławy, który w Polsce już nie był wtedy, tylko w Stanach Zjednoczonych. Z drugiej żony miał Marię i Kazimierza. Kazimierz był kompozytorem i wiolonczelistą, a Maria była pianistką. Oni wszyscy byli takimi wielkimi artystami, wszyscy. A z tej trzeciej żony, z tej Marii, Wandy Wiłkomirskiej matka była Żydówką. No i ona z tego powodu musiała też się ukrywać jakoś. Ona już jednak miała te rysy, takie podejrzone. Jej matka podobno nie. Ona o tym wtedy nie mówiła. Ale to tak na marginesie, bo właśnie oni też koncertowali, ci wszyscy, których wymieniałam, z wyjątkiem Michała koncertowali u nas w domu, Wiłkomirscy wszyscy. Tak że naprawdę zetknęłam się z ludźmi różnymi, ale szczególnie z artystami mieliśmy największy kontakt. To jest jednak, jak mówiłam... podnosi na duchu to wszystko. Te koncerty, te deklamacje, naprawdę. To jest wielka rzecz, jeżeli w takiej sytuacji, w takich warunkach ludzie potrafią swoją sztuką podnieść na duchu upadające już przecież Powstanie. To jest naprawdę wielka rzecz. No i teraz jest początek października. Wujek przychodzi do nas w odwiedziny, to widzimy się z nim po raz ostatni w życiu. Jeszcze ta ciocia polonistka Regina też nas odwiedziła wtedy. Wszystkie moje trzy ciotki były nauczycielkami. W liceum i później ona była akademickim nauczycielem, ta Regina. I oni brali udział w tajnym nauczaniu, wszyscy. Tak że też mają taką kartę ze sobą. Pożegnaliśmy się ze łzami w oczach, bo już nie było wiadomo, co z nami będzie dalej. Ta ciocia została wywieziona, ta Regina, do jakiegoś obozu niemieckiego Schneiderswelde, który w ogóle podobno nie istnieje, czy nie istniał. Tak jest, bo ja pisałam z zapytaniem do różnych instytucji, niestety znikąd nie dostałam ani mojego ojca, nic. Ale czemu to się dziwić? Mojego męża po wojnie wcielono obowiązkowo do służby Polsce, bo ojciec był nieprawomyślny. Wszystkich dzieci tych nieprawomyślnych to wsadzali do kopalni w wodzie po kolana. W Mysłowicach na przykład. I też nie ma informacji, nie ma, nie istnieje. Nie istniał tam. Tak że czy później, czy to sprzed wojny, czy to tuż po wojnie, czy już po wojnie dalsze losy mojej rodziny... nie istnieje

żadna moja rodzina. Aha, jeszcze nie powiedziałam o tym uciekinierze, u nas się przechowywał od lutego, od stycznia. Uciekinier, jeniec, niemiecki jeniec. To był młody chłopak, nazywał się Mamed Husejnow, dwadzieścia trzy lata miał. Był studentem filologii rosyjskiej w Baku. Bardzo przyjemny chłopak, naprawdę. Ale typowy... Oni się wtedy nie nazywali Azerowie. On mówił, że on jest Azerbejdżanin. Nie mówił Azer tak w skrócie, jak teraz mówimy. No i poszedł do Powstania, niestety po kilkunastu dniach zginął w Powstaniu. Do Powstania po stronie Polski. Tak że tak szkoda. Szóstego umarł ten pan Mitrowski, ten, co się u nas przechowywał po tej truciźnie, a siódmego nas wyrzucili. Przyszli Niemcy, podpalili naprzeciwko dom. On się już palił, nas wyrzucali. Myśmy miały dwie kotki. Moja siostra miała syjamkę małą, charakterystyczną, nawet z przebadanym rentgenem ogonem, bo myśleliśmy, że ktoś jej złamał ten ogon, ale nie. To była rzadka rasa wtedy i niedużo było tych kotów w Warszawie. To są koty obronne w ogóle. To nie można sobie zafundować w domu czegoś takiego. To niebezpieczny kot, bardzo. Ta była spokojna. Ona mojej mamie czy cioci to wisiała na szyi jako taki kołnierzyk, albo chodziła przy nodze. Bo one się przywiązują do człowieka, nie do miejsca. Też jest taka sytuacja. Znajomi mieli kota, to on wpuścił gościa do domu, tylko że wyjść to nie mógł sam. On mu skakał na plecy i darł, i po prostu straszne rzeczy robił. I to się nie obroni, bo to jest zwinne zwierzę. O tej kotce to jeszcze mogę wspomnieć później, bo to też dziwna sprawa. Więc moja siostra ją miała w ręku, a ja miałam angorę. Taką Luizę, bardzo piękną, białą z zielonymi oczami. I ten Niemiec tę angorę wyrwał mi z rąk i rzucił w te płomienie, a tamtą schował sobie za pazuchę, tę małą syjamkę. Nie wiedział, co sobie schował. Proszę sobie wyobrazić, że po wojnie, pół roku potem jesteśmy tu w Milanówku. Do szpitala idzie moja mama, a na schodach siedzi Miki. Mama mówi do niej: „Miki”, a ona skoczyła jej od razu na ramię. Po czym mama chciała ją zabrać, a ta pani, która była jej ówczesną właścicielką, powiedziała: „Nie oddam. Ja ją uratowałam z Powstania”. Jak oni pojechali z Czerwonym Krzyżem zbierać rannych, poszukiwać tam kogoś, kto jeszcze gdzieś się przechowywał, to było już dwudziesty trzeci wrzesień... Październik, to ona zobaczyła takie wyplószone kocię, rzuciła jej tam kawałek chleba, a one nie jedzą chleba w ogóle. Rzuciła jej, ona to zjadła i przyszła do niej. I ona ją wzięła i już ją miała. Dała mi potem kocię, mnie później, już jako matce dziecka, już mężatce. Dała mi kocię od niej i to kocię jak podrosło, to usiadło kiedyś mojemu śpiącemu synkowi na piersiach i nastroszone patrzyło, jak pulsuje mu żyła na szyi. Oddałam ją tego samego dnia. A ta moja ciocia właśnie, ta Regina, miała kota, trzynaście lat. Jest jakiś Sylwester, ona nie... Starsza pani, ona nie chodziła na żadne Sylwestry i mieszkała z dwiema koleżankami, każda w oddzielnym pokoju, też starsze panie. I ten kot jej zaznaczył teren na książkach. I ona go zrzuciła z tych książek i on się na nią rzucił, druga w nocy, Sylwester. Rzucił się na nią, pogryzł ją straszliwie, poszarpał, no w ogóle do telefonu nie można było nawet dojść. Te panie się pobudziły, obok co mieszkały. Na nie też się rzucił, no i potem miały bardzo trudne leczenie, bo to jest choroba kociego pazura. Tak że też było bardzo ciężko je wyleczyć. No, ale dlatego mówią, że na tle tych syjamów to to tak... One kiedyś w Syjamie właśnie... Mi się zawsze kojarzy z tym Gomułką, z tym jego przemówieniem... Leżą na górze, bo to są te domki takie na palach w wodzie i jak ktoś wejdzie obcy i wychodzi, to pada na plecy. Nie potrzeba psów tresowanych. Wystarczy, nietresowany taki kot, żeby zrobił to, co trzeba, żeby obronić swoje miejsce. Niesamowite te koty są, naprawdę, przestrzegam. Może się zdarzyć łagodny, ale co natura, to natura. To tak jako dygresja. Więc myśmy zaczęły płakać wtedy, jak nam wyrwał te koty. Ta to już skwierczy tam, prawda? Okropnie wrzeszczy i płonie, a tę zabrał. No i dobrze, i już nas wyrzuca, i już na nas krzyczy: Schneller, schneller. Po prostu ja nie mogę tego języka słuchać. I nie mogę słuchać tego sąsiedniego: Wy Poljaki. Też nie mogę tego słuchać. Dwóch przyjaciół, młot i kowadło. To się nie mieści w głowie to wszystko, naprawdę. To są niby drobiazgi. Bo co to mówić o kocie, gdy ludzie giną, prawda? Nie ma co. Ale to są takie... Trzeba powiedzieć, że to są dzieci, prawda? Czter-

nastolatka i jedenastolatka. Jak można coś takiego robić? Jak można gorsze rzeczy robić. Ale to się pamięta. No i pognali nas, pieszo do Pruszkowa, do Dulagu 121. W Dulagu 121 przeżyliśmy kilka dni, parę dni, około trzech. Wśród szcurów, robactwa i takich wszy, jakich w życiu nie widziałam przedtem i potem. Nie widziałam. Po prostu beton. Nie ma, jak się ułożyć w ogóle ze sobą... Myśmy niby wiedzieli, że będą nas wyrzucać, to mieliśmy jakieś podręczne... No, mama nas zaopatrzyła w te metryki, wszystko w woreczkach na szyi schowane, jakiś kubek, sztucce, jakieś talerze. Wszystko to metalowe, żeby było bezpieczne, że nie sflucze się, ale rzeczy żadnych takich specjalnie to myśmy nie wzięli. Tak jak staliśmy, tak poszliśmy poganiani przez tych strażników. Tam się dzieje rzecz taka, o czym nie pisałam w relacji, że oddzielają kobiety od mężczyzn. Nas oddzielili... Ja byłam mała na swój wiek i zostawiono mnie przy mamie, bo takie już wyrosnięte trochę dziewczynki zabierali oddzielnie. Ale mnie zostawili i siostrę też, a ojca oddzielili. I potem patrzymy na drugi dzień, jak kolumna tych mężczyzn jest pędzona przez taką drogę jakąś ogrodzoną siatką, przy tym, jednym z tych hal, bo to były te hale do reperowania pociągów. Zakłady taboru kolejowego. I patrzymy, że ojciec idzie tam w tym. I zaczęliśmy krzyczeć, to już było zupełnie bez możliwości rozumowy. Zaczęliśmy strasznie krzyczeć: „Tatusiu, tatusiu!”. Zrobiło się jakieś zamieszanie, ktoś rozerwał siatkę z naszej strony i kilkunastu ich uciekło, w tym mój ojciec. I gdzieś tam na końcu hali wszystkie kobiety, co miały jakieś kapoty, to ich poukrywały, a Niemcy się bali wejść w ten brud okropny. I tym sposobem mój ojciec się uratował przed tą wywózką. Nas po trzech dniach wywieziono do Krzeszowic, gdzie czekały na nas tak zwane podwozy rolników z jakimiś tam wozami, którzy na siłę zostali zobowiązani do przyjęcia rodzin. Tam był z nami też jeden z mieszkańców naszej kamienicy, hrabia Jerzy Dąbowski. „q”, „m” pisane, taka pisownia. Z synem Adamem. No, ale byliśmy rozdzieleni. I tam byliśmy przez miesiąc przywiązani, nie wolno było nam się stamtąd ruszyć, z tej wioski. Ci ludzie biedni, przecież te górskie tereny, nie urodzajne, ledwo tam przeżywali sami, a kontyngenty musieli oddawać Niemcom. Ale tego obiadu pierwszego jaki ja tam dostałam od nich, to nie zapomnę. Ponieważ to była jagnięcina w sosie takim smacznym z buraczkami i z ziemniakami puree. To po prostu była uczta po tych pęczakach, po tych szczawiach, po tych pomidorach, to było coś nadzwyczajnego, naprawdę. Coś arcysmacznego. Dzielili się z nami, czym tam mogli, też byli biedni i też byli głodni. Potem poszliśmy do Krakowa, bo ojciec tam kiedyś pracował, miał dużo znajomych, dali nam mieszkanie w opuszczonej willi. Zbił ojciec prycze jakieś, które przyniósł... Deski, kapustę i chleb przywiozła nam moja niania sprzed czterech lat. Tam przychodziła do nas do pracy, jak moi rodzice tam mieszkali i ja się urodziłam. I ona nas trochę poratowała, właśnie jakaś słoma, siennik, to były właśnie jakieś takie rzeczy. Trochę tam pomieszkałyśmy, a potem musieliśmy uciekać. Krakowianie sami też nie zaopatrzeni, też kartkami żyjącymi, oni zapraszali każdą osobę oddzielnie na skromny obiad, bardzo skromny. No, ale dzielili się, czym mogli. Potem zaczęli nas Niemcy szukać, ponieważ Warschauer Banditen. Meldunek Warszawa w Kennkarcie to już był wyrok śmierci znowu. Uciekliśmy do Puszczy Mariańskiej, gdzie tam właśnie, wspominałam, przedtem moja ciocia była nauczycielką i tam mieszkaliśmy przez parę miesięcy i tam przyszła Armia Czerwona. Niemcy uciekli, a jeszcze się umyli na koniec w tym mrozie pod studnią. Muszę powiedzieć tu słowo o tej Armii Czerwonej. Na swoje własne oczy widziałam karabiny na tak zwanych sznurkach, bo to były tasiemki takie zielonawe. W szynelach, obdarci, szarzy z brudu i zmęczenia, oczy błędne. Po prostu wraki ludzkie. I jakiś przewspaniały dowódca, piękna twarz, piękna postawa, wysoki, starszy mężczyzna. On jak zobaczył synka mojej ciotki, czterolatka, i się zachwycił nim, bo on miał bardzo ładne oczy czarne i mówi: Kakije głaza! Że on ma takiego wnuczka i już go nigdy nie zobaczy, bo on należał do białych Rosjan tak zwanych i on został wysłany na front, żeby zginął. Żeby poszedł sobie na ten front i im tam już nie przeszkadzał. Powiedział, że on nie wróci już, bo się bardzo ucieszył, że może rozmawiać po rosyjsku, bo przecież właśnie jak

mówię, wszyscy wiedzieli i znali ten język. On powiedział, że on nie wie, czy on dożyje, do Berlina jeszcze daleko, ale może... I on miał jakiś rodzaj, pierwszy raz w życiu widziałam coś takiego, jakiś rodzaj frytek czy coś, na patelnię. Kazał dać patelnię i rzucił tam ten jego adiutant, rzucił to na patelnię na jakiś olej i on to zjadł. A tamci rano, to wojsko poszło na przegląd tej Puszczy Mariańskiej. To nieduża miejscowość była wtedy z przepięknym drewnianym kościołkiem, który później spalili po wojnie nieznani sprawcy. To były takie sytuacje, że palono te kościółki właśnie. Tę pamięć ludzką palono tam wszędzie. W Motyczu też spalono taki kościółek. Ja je pamiętam, bo ja tam chodziłam do tych kościółków, to wiem, jak to wyglądało. Przepiękne freski, bez gwoździa wybudowane. To były zabytki po prostu, przepiękne. Ci nieznani sprawcy maszerowali przez całą Polskę, to robili, co chcieli, prawda, potem. To za naszych już czasów. A to wojsko właśnie plądrowało wieś. Na początku ranka. Bo oni, jak się później dowiedziałam, nie dostawali jakichś tam, żołdu, jakichś pieniędzy wielkich ani niczego. Oni wiedzieli, że oni mają sobie łupy brać. I to jest to, co wezmą, to będzie ich. I był tam zegarmistrz. Na wystawie miał budziki. Nikt, w życiu potem takich budzików nie widziałam nigdy w życiu, nie widziałam. To były ogromne budziki z taką kopułką z dzwonem, z uchem takim dużym do przenoszenia, na nóżkach takich z tyłu zakończonych kulkowo. No i trochę miał tych zegarków naręcznych. No to, co we wsi reperował. I ci, którzy dopadli, sfukli szybko, dopadli się do tych budzików, powiesili sobie na szyjach te budziki i poszli na Berlin uwalniać Europę. To są obrazy, które ja widzę. Widziałam na swoje oczy, to nie jest żadna bajka opowiadana. To tak doczekaliśmy ich. Muszę tu wspomnieć o moim ojcu chrzestnym, Bolesławie Buszczyńskim, poruczniku 8. Pułku Ułanów imienia księcia Józefa Poniatowskiego. Wzięty do niewoli sowieckiej. Jak się później dowiedziałam z listy, w czasie wojny ogłoszonej przez Niemców w czterdziestym trzecim roku, po wejściu Niemców do Rosji zginął, był w Starobielsku, a zginął w Charkowie. Przystojny, młody człowiek. Jeden z kilkorga synów właściciela tych majątków nasienniczo-hodowlanych. Miałam z tego powodu duży smutek, bo jak człowiek traci kogoś bliskiego w zasadzie, to jednak to zawsze zostawia ślad. Drugi ułan Tadeusz Gerlecki, stryjeczny brat mojej mamy Ułan 25. Pułku Wielkopolskiego, Ułanów Wielkopolskich. Były jeździec w zawodach międzynarodowych. Przystojny, piękny mężczyzna. Brał udział w ostatniej akcji szarzy ułanów pod Krasnobrodem 26 września. W tej akcji zginął niestety, jak większość jego kolegów. Potem zostali odznaczeni orderem Virtuti Militari, wszyscy. Tak to... Tyle osób zginęło z mojej rodziny. Mojej cioci mąż, nie pamiętam imienia, bo mało go widywałam. Nazywał się Derkacz, zginął w Oświęcimiu. Ona później wyszła po wojnie za mąż za lekarza laryngologa, doktora Feliksa Sierocińskiego, który był więźniem obozów Mauthausen i Oranienburga. Stracił całą rodzinę swoją wcześniejszą zabitą przez Niemców. Oni tam mieszkali później w Olsztynie, on tam pracował. Inny brat stryjeczny mojej mamy, Konstanty Gerlecki, też porucznik w czasie wojny. Na początku w trzydziestym dziewiątym roku w walkach tam właśnie stracił nogę. Rodzina go później przetransportowała do nas, do wujka właśnie, do tego mojego wujka do Warszawy i tam z trudem zdobywał dla niego protezy, bo przecież wtedy nie było nic do kupna. Jakieś szczudła były tylko te pod pachy, okropne. To takie były właśnie losy tych osób z nami związanych, z rodziny. Proszę powiedzieć jeszcze o pradziadku. Oj, tak... Pradziadek mój, ojciec mojej babci, Antoni Władysław Piątkowski, był malarzem sakralnym, a potem brał udział w Powstaniu Styczniowym, on i jego koledzy. On przeżył, nie wszyscy przeżyli wtedy. No, Józef Piłsudski ich uhonorował później, tych Powstańców. Oni mieli jakiś ogromny szacunek w społeczeństwie. I to był bardzo miły człowiek. Podobno, bo ja już go nie znałam. On umarł w Dubnie w dwudziestym dziewiątym roku, mając dziewięćdziesiąt pięć lat. On się nigdy stamtąd już nie ewakuował do Polski i tam umarł. Mam jego nekrolog, ktoś przysłał moim dziadkom do Więclawic. Proszę jeszcze wrócić do tematu pomocy... Żydom. Tak, chodzi o getto. Wujek i moi rodzice oprócz tego przechowywania tych osób u nas w domu i poszukiwania... Przychodzili do Powstania z jakimiś możliwie zdo-

bytymi... z jakąś żywnością, z jakimś, po prostu... z odzieżą, bo oni tam nic nie mieli. Po prostu już to wszystko z nich spadało, nawet to, z czym byli przywiezieni do tego getta. Wyprowadzali ich, szukając potem schronienia. U nas oni byli dzień, dwa, trzy, a potem byli przenoszeni gdzieś indziej, bo to trzeba było całej ogromnej siatki ludzi, żeby się w tym wszystkim mogła taka osoba przechować. To nie tylko, że u nas byli, ale to gdzieś trzeba było jeszcze mieć kontakty, gdzieś przechowywać, gdzieś przewozić, gdzieś przemocować, coś dać jeść. Przecież cały czas pamiętamy, że żyjemy z kartek. To wszystko jest bardzo utrudnione. Oni mieli... Tam była... Oni troszkę mieli ułatwioną sprawę do wejścia do getta. Przedwojenni znajomi moich dziadków jeszcze i rodziców z Kresów, pani Zofia Stolińska z domu Jaworowicz miała z mężem tam na terenie późniejszego getta, bo to mieli wcześniej tartak. I ten tartak Niemcy nie zlikwidowali i ją na razie zostawili, bo mąż jej był w wojsku i dostał się później do Anglii. Natomiast ją zostawili jako tą, bo potrzebny jest ktoś, kto się na tym zna i wie. No i ona tartak prowadziła, zatrudniając tam Żydów już wtedy, bo przecież już innych nie, tylko Żydów.